Cena 60 groszy Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WOLNOMYŚLICIEL POLSKI



DWUTYGODNIK

ROK 4 WARSZAWA — 1931 — 1 CZERWCA NUMER 14

REDAGUJE KOMITET

500-lecie śmierci Św. Joanny d'Arc*)

Rozradowało się oto „watykańskie" serce starowiny Gazety Warszawskiej (z d. 9/V). Czarownica, recydywistka Joanna d'Arc została „Narodową Świętą" w bezbożnej Francji i oto ludność Paryża, gdzie oddawano cześć „Rozumowi", tak z m i ę k ł a umysłowo, iż zasypała posąg „Narodowej Świętej" kwiatami. Członkowie rządu złożyli „bohaterce" hołd a następnie obecni byli na rewji wojskowej. Okna i balkony tonęły w kwiatach, zieleni i sztandarach. Słowem, jak to my malarze mówimy w języku naszych pracowni: „to co napluto, wylizano dokładnie".

Ale napluto 1431 roku 30 maja — gdy „czarownicę" uroczyście spalono na Starym Targu miasta Rouen.

A palono ją wymyślnie. Chodziło biskupom, aby przekonać tłumy, że to nie żadna natchniona święta ale p r o s t a c z a r o w n i c a natchniona przez szatana. Więc stos tak obmyślono, iż gdy zapłonął, ofiara przez dym uduszona i przez płomień obnażona z odzieży przez 2 godziny wystawioną była na w i d o w i s k o g a w i e d z i.

Wtenczas przekonano się, że t o k o b i e t a jak i inne, zwyczajna kobieta ziemska, ciało, a nie coś nadprzyrodzo-

---

*) Zob. „Głód cudów a śmierć Joanny d'Arc". W. P. № 18 z r. 1929. *Red.*

nego, nadziemskiego. Następnie nastąpił akt drugi kaźni — stos zapłonął ponownie i strawił owo nagie ciało dziewczyny [1]).

A teraz posłuchajmy, co w lat 55 po tej kaźni piszą: Henryk Krämer (Institor) oraz Jakób Sprenger, dwaj papiescy inkwizytorowie w swojem znakomitem dziele „Malleus maleficarum".

„Skoro tedy króla francuskiego Karola w wielu rzeczach ratowała (Joanna d'Arc) i na królestwie go przez lat kilka utwierdziła, na ostatek za dopuszczeniem, co rzecz pewna, Bożym, od żołnierzów angielskich pojmana i do więzienia dana. Gdzie w zgromadzeniu wielkim ludzi uczonych tak w Teologji jako i w inszych ludzkich naukach przez czas niemały examinowana (badana) była. Nakoniec przyznała, że ma towarzysza sobie przytomnego Anioła Bożego, który za zgodą i rozsądkiem ludzi uczonych z wielu znaków i dowodów czartem był osądzony [2]). Iż tedy sprawą z tego ducha rządzona była i czarownicą została, przeto z dekretu zgodnego urzędowego na ogień była wskazana".

Str. 355. „Tegoż czasu dwie białogłowy blisko Paryża zjawiły się, jawnie powiadając być się od Boga posłanemi na pomoc pannie Joannie (d'Arc), jakom słyszał od ojca Mikołaja Licencjata w Teologji Akademji Paryskiej, zaraz od Inkwizytora Francuskiego jako czarownice pojmane były i od wielu w piśmie świętym Doktorów examinowane, którzy to obaczyli, że sprawą szatańską oszukane były. Zaczem, gdy jedna z onych białychgłów od szatana uznała się być zwiedziona, za nauką uczonych ludzi, błąd porzuciła i wyrzekła się go zaraz. Druga zaś w uporze trwając z dekretu spalona była".

Z powyższego widzimy, iż w 55 lat po spaleniu czarownicy Joanny d'Arc — była utrwalona opinja, iż była ona czarownicą a jej anioł był szatanem, również jak i 2 kobiety szlachetne, które bronić jej chciały — były czarownicami przez szatana omamianemi.

Jedna błąd swój uznała i uszła kary, druga szlachetniejsza śmierć na stosie poniosła.

Szkoda, że kler kanonizując Joannę o tych 2 niewiastach zapomniał. Przecież one lat temu 500 już Joannę d'Arc

---

[1]) Rosyjski generał Dragomirow specjalnie zajmował się procesem Joanny d'Arc i napisał nawet bardzo interesującą pracę (oddzielna książka) o tej bohaterce narodowej.

[2]) Średniowiecze opanowane było przez „demono-manję", wszystko składano na karb czarta i złych mocy. Jest to rys całkiem znamienny a zbliżony do tego, co obecnie kler czyni. Wszystko obecnie jest sprawą „masonów", „bezbożników", „bolszewików". Poglądy takie są dogodne, usuwają one wszelką samokrytykę a wskazują na urojonych wrogów. Co do demono-manji to warto przeczytać: Wilhelm Hartmann: „Die Hexenprozesse in der Stadt Hildesheim. Leipzig 1927 zwłaszcza str. 84 rozdz. III.

za zesłankę bożą uznawały i o całe 5 stuleci **n i e o m y l n y c h** wyprzedziły watykańczyków.

Co do samej świętej, a zwłaszcza ustroju jej ciała, mamy ciekawe dane na 38 str. dosyć rzadkiego dziełka. „Tableau de L'Amour Conjugal par Le Dr. Venette (pierwsze wydanie około 1813 r.) w Paryżu. Jest tam mianowicie opinja dwu doktorów medycyny, dr. Guillaume de Cauda i Guillaumedes Jardin, którzy badali ciało uwięzionej w Rouen, na zlecenie kardynała Anglji i hrabiego Warvick. Należała ona do rodzaju „filles ètroites" (dziewczyn ograniczonych).

Śmiech pusty bierze, kiedy się czyta, jak ultra-świątobliwa Gazeta Warszawska (z 9.V b. r.) wzywa: „Zatrute owoce 18 stulecia, które zrodziły wiek 19, należy **o d r z u c i ć** i zwrócić się do niektórych idei **r e h a b i l t o w a n e g o** dziś **ś r e d n i o w i e c z a**, byśmy mogli stać się dziećmi **p r a w d z i w e g o p o s t ę p u**" (tak!).

Wstrzymajcie śmiech, czytelnicy!

Taż sama „wzdychająca do **ś r e d n i o w i e c z a**" Gazeta Warszawska, delektuje się uroczystościami ku czci świętej, spalonej jako **c z a r o w n i c a** w epoce „rehabilitowanego dziś średniowiecza" wielkiej i ofiarnej patrjotki francuskiej.

„Komitet obchodu zaprasza na uroczystości, w szczególności zaś na Akademję w niedzielę tych wszystkich, którzy udziałem swym zechcą połączyć się w hołdzie (?!) z całym narodem francuskim, obchodzącym dzień ten jako święto państwowe".

Napluli 500 lat temu **k l e r y k a l i** a obecnie wylizują!

Marjan Wawrzeniecki

Ćwierć wieku

Gdyby Henryk Wroński wiedział, że zajmiemy się nim na łamach Wolnomyśliciela Polskiego, zapewne poprosiłby o zaniechanie tego, ponieważ skromność jego daleką jest od tego, co zwiemy rozgłosem prasowym.

I możebyśmy również o nim nie pisali, gdybyśmy nie chcieli podać naszym czytelnikom małej przynajmniej wzmianki o tej wybitnej postaci, która już dobrze zasłużyła się na polu szerzenia Myśli Wolnej. Jego wielkie zdolności i wiedza przyrodniczo-filozoficzna, uczynność względem ludzi i pracowitość, zjednały mu szerokie sfery przyjaciół i wielbicieli. Nic też dziwnego, że tą drogą i my chcemy uczcić Jubilata.

Otóż ćwierć wieku upływa od chwili, kiedy na widowni naszej ubogiej literatury wolnomyślicielskiej stanął Henryk Wroński. Przez ten długi okres lat poeta przeszedł dobrą szkołę myślenia abstrakcyjnego, a równocześnie szkołę

literatury najbardziej życiowej, najbardziej przejętej powagą i odpowiedzialnością społeczną, jaką niewątpliwie jest Myśl Wolna.

Poezja pociągała go ku sobie od młodych lat. Pochodzi bowiem z tej samej macierzy ziemi, co i Adam Asnyk. Ten wielki poeta i myśliciel dla Wrońskiego był mistrzem i drogowskazem, odsłonił przed nim głębię piękności poezji, która potęgą wyobraźni i czarem języka łączy w sobie urok całej sztuki i wiedzy.

Charakter i talent Wrońskiego wyrabiał się w ciężkiej epoce ucisku i przełomu, w burzliwe lata 1904 — 1906. Był to okres nadchodzącej rewolucji rosyjskiej, a w związku zaś z tem, okres przewrotu w literaturze pięknej. Poeci i pisarze czerpali tematy z bogatej skarbnicy faktów tej doby, oświetlając je z właściwego sobie stanowiska społeczno-politycznego.

„Burza wybucha w całej sile! A Zwiastun burzy, ptak dumny i śmiały, rwie się i miga pośród złotych błyskawic nad gniewnie ryczącem morzem, i krzyczy on, prorok zwycięstwa: Szalej, burzo! silniej szalej" — kreśli te słowa z entuzjamem M. Gorkij w swej „Pieśni o Zwiastunie burzy".

Skutki tego były dość głębokie: rozszerzył się przedewszystkiem ruch umysłowy, ruch społeczny, zbudził się racjonalizm wszechludzki i Myśl Wolna. Była to nie rewolucja, ale wielki wstrząs, który zbudził społeczeństwo z uśpienia i kazał zacząć myśleć myślą człowieka wolnego.

Wówczas to, Wolnomyślicielstwo Polskie ugruntowało swoje istnienie w kraju. Powstała „Myśl Niepodległa", organ osobisty Andrzeja Niemojewskiego, prowadzącego z właściwym sobie impetem propagandę Myśli Wolnej. Głosił, że Polska, tyle cierpiąca od cudzej nietolerancji, sama okazała się niesłychanie nietolerancyjną. Ujawnił, że katolickość czyni groźny zamach na polskość i że w ciągu dziejów zadała nam rany, które się dotąd jątrzą. Pouczał, że oświatę i obyczaje wyzwolić trzeba z pod protektoratu kruchty, świecki inaugurując kierunek. Aby dźwignąć ogół, trzeba go zasilić jak największą ilością silnych i potężnych indywidualności uspołecznionych.

Powyższe wezwanie Niemojewskiego odniosło ten skutek, że wielu entuzjastów zgromadziło się w szeregach wolnomyślicieli, a w tej liczbie z piórem w ręku stanął Henryk Wroński.

Pierwszy tom poezji Wrońskiego p. t. „Rozbrzaski" ukazał się w miesiącu czerwcu 1906 r., który krytyka ówczesna przyjęła życzliwie.

Ośmielony powodzeniem, Wroński w 1910 r. wydaje drugą serję poezyj p. t. „Pobudki". Andrzej Niemojewski w Myśli Niepodległej napisał wtedy te słowa: „Po raz pierwszy zjawia się w Polsce poeta z rozwiniętym nad głową znakiem Wolnej Myśli. Entuzjazm, młodzieńczy poryw, energja,

wiara w ideały, zapał szlachetny, oto klimat duchowy, z którym do nas przychodzi. To prawy syn Małopolski, potomek Rejów, Kochanowskich, Krasickich, Trembeckich, Brodzińskich, Asnyków. Interesuje on nas nietylko jako poeta, ale jako umysł. Całe życie jeszcze przed nim, wszystko ma do zdobycia a jednak już z dalszemi jego losami łączymy nasze nadzieje. Czy jest to tylko ów przyszłości wykwintny i głęboki „homme de lettres" (człowiek literatury), który teraz młodości wiosłem przepływa dzielącą go od przyszłości rzekę poezji, czy też ta rzeka w morze się rozszerzy, niepodobna przesądzać, ale i nie potrzeba przesądzać. Widząc tak poważne zamierzenie, tak szczere dążenia, tak surowe wymagania względem siebie samego, powiadamy sobie: rośnie nam pisarz, który w umysłowości naszej może kiedyś pierwszorzędną odegrać rolę. Kształtuje się materjał na silną indywidualność, wylatuje z gniazda młody ptak, zabiera głos przedstawiciel nowego pokolenia, które ma prawo powiedzieć, jak on mówi: „Znam nikczemności ludzkiej krwawą topiel, widziałem uczty, gdzie przy jednem stole pił Torkwemada, Chrystus, Piast i Popiel". Szczególniej sonety H. Wrońskiego odznaczają się zwartością, zwięzłością i treściwością".

Utwory „Z głową wspartą na ręku" wyszły z pod pióra Wrońskiego w 1919 r. Jest to cykl sonetów z poczuciem piękna, skreślony przez poetę pod znakiem i wpływem mistrza jego — Asnyka. „Ma w sobie coś z melancholji i zadumy jakiejś odwiecznej — pisze Wacław Wolski — włoskiej kompozycji, granej na starym szpinecie, ta łagodna, refleksyjna poezja smutnego (nie zgorzkniałego), ale szlachetnego i myślącego człowieka, trochę lubującego się w swojej pozie Pensierosa (Myśliciela) Michała Anioła, czy Rodina, poezja, która powstała pod dużym wpływem cyklu sonetów „Nad głębiami" Asnyka. Rozbraja nas ona swoją skromnością, szczerością, podniosłością tonu, ukochaniem wielkich Ideałów Ludzkości... Unosi się nad treścią jego smutnych, dziwnie miłych zadumań... jakby poszum skrzydeł Księgi Ekklezjasty, jakiś powiew szlachetnego, męczeńskiego ducha Leopardiego... niezaprzeczenie emanuje z niego jakiś urok smutku i powagi, który nadaje Wrońskiemu dostojeństwo i szewrony prawdziwego poety".

W roku 1926 ukazała się serja czwarta wierszy Wrońskiego p. t. „Z chwil, które zbiegły". W tym zbiorze utworów poeta rysuje nam wierszem w chronologicznym porządku obrazy od wybuchu wojny światowej do najważniejszych faktów historycznych życia odrodzonej Polski. Pozatem zamieścił serję sonetów, poświęconych K. Tetmajerowi, genjalnemu piewcy Podhala.

Mówiąc o Wrońskim krótko, można tylko zaznaczyć, że po Asnyku i Tetmajerze on stał się wielkim mistrzem w tworzeniu sonetów. Jego język i styl, pracowitość i sumienność są bez zarzutu. Ale Wroński nie zamyka się wyłącznie

w świecie poezji, choć ma do niej wielkie upodobanie. Zakres jego umiłowania jest szerszy. Jego światopogląd — to Myśl Wolna i Ateizm, Wiedza i Postęp! Napisał na tem tle również utwory dramatyczne, które, niestety, dotychczas, jak to czytamy w ostatnim zbiorze wierszy z r. 1926, spoczywają w rękopisie. A są nimi następujące dramaty: „Cezar Borgia", „Lukrecja Borgia", „Djalogi paradoksalne (Jezus — Marks, Franciszek z Asyżu — Robespierre, Sokrates — Nietzsche)".

Wreszcie dla ścisłości nadmienić należy, że Henryk Wroński żyje i tworzy, ostatniego słowa jeszcze nie wypowiedział... A jako bojownik Myśli Wolnej przyczynia się wiele do budowy nowego światopoglądu społecznego.

W. Poniecki

Człowiek szlachetny

LIST DO KOLEGI TEOFILA

Moi drodzy!

Gdym przed dziewięciu laty, w obawie serdecznej przed zagładą CZŁOWIEKA w Polsce (och! i na świecie) przez panoszące się chamstwo wszech autoramentów, wyznań, klas społecznych i ugrupowań politycznych, ogłosił był w Nr. 4-5 „Myśli Wolnej" WEZWANIE DO SZLACHETNYCH, zaklinając ich — gdziekolwiekbądź są — by się otrząsnęli z letargu niemocy i gnuśności, pamiętacie? zapytany zostałem publicznie przez Baudouina: „A któż to ma rozstrzygać, kto jest szlachetnym?"

Istotnie, trybunału takiego niema i być nie może, nawet gdyby się składał z sędziów najszlachetniejszych z pośród szlachetnych.

A jednak wiedzieliście dobrze, Panie Teofilu, że tym razem uwielbiany przez Was starzec zadaleko swój sceptycyzm posunął, i że nie miał zgoła racji, gdy z dobrotliwie-szyderczym uśmiechem dodał: „przecie nie sam chyba człowiek o sobie..."

Wiedzieliście dobrze Panie Teofilu, i wiecie dziś—wiedzą niewyuczoną z ksiąg i szkół, lecz z głębi uświadomienia w sobie własnego człowieczeństwa wykwitłą —, że właśnie SAM TYLKO CZŁOWIEK MOŻE, I SAM MUSI ROZSTRZYGNĄĆ W SOBIE O SOBIE, CZY MA ŻYĆ SZLACHETNIE, wbrew wszystkiemu, co to za sobą pociągnąć dlań w życiu może.

Boć tu nie o autoklasyfikację idzie, z oczadzaniem się kadzidlanym dymem zadowolonej pychy — co byłoby antynomjalnem szlachetności zaprzeczeniem, jeno o nieznużony,

nigdy nie kończący się wysiłek realizacji życiowej. Nie o chamskie wystawienie sobie przywileju na „szlachetność", wzorem historycznej szlachty czy „arystokracji", jeno o bohaterskie podjęcie wymarzonego trudu urzeczywistniania życia szlachetnego.

Och, bo żyć szlachetnie — to żyć w nieusypnem poczuciu odpowiedzialności za życie własne i za życie społeczne, którego życie własne jest cząstką współdrgającą i współokreślającą.

Żyć szlachetnie — to żyć nie licząc się z następstwami dla siebie, to żyć narażając się na niewygody, zapoznanie i niedostatek, na niezrozumienie najbliższych i śmieszność w oczach wszystkich, byle zachować nieustępliwie to jedno, to najwyższe, to bezcenne dobro: swój głęboki, dostojny stosunek do życia.

Żyć szlachetnie — to znaczy, w szczęściu czy w nieszczęściu, pod uśmiechem losu czy pod jego miażdżącym obuchem, na szczytach powodzenia czy w otchłani nędzy — nie poniżyć się nigdy do sponiewierania innego człowieka, nie zapomnieć się do chęci (już nie mówię, czynu) odwetu, odpłaty czy zemsty, bodajby za najboleśniejsze ciosy, zadane mnie, bliskim moim, czy moim dążeniom społecznym, nie ześlizgnąć się w bajoro wywierania swej wyższości fizycznej, społecznej (hierarchja, autorytet) czy materjalnej (majątek) na słabszych, na niżej stojących, chociażby to być miało dla celów „wyższych", nie! zwłaszcza dla celów wyższych.

Człowiek szlachetny, nieustępliwie ze złem walcząc, złem posiłkować się w tej walce nie zdoła. Walcząc z krzywdą jednostki, klasy społecznej czy narodu, nie może krzywdy (istotnej, nie urojonej!) świadomie zadawać! Walcząc z nieprawością, obłudą i fałszem, nie może obłudą, fałszem i nieprawością wojować. Stawiając innym pewne wymagania, od siebie wymaga stokroć więcej, nigdy ciężkiej odpowiedzialności swej nie tracąc z oczu. Zawsze wierny, do śmierci. Wierny sobie, swej duszy, swym ideałom. Wierny ukochaniu człowieka, w sobie i w ludziach. Dający ze siebie zawsze więcej, niźli był obiecał. Ach! jeśli nie więcej, to tyle przynajmniej, ile jest winien swej szlachetności,

Czy się domyślacie, kochany Panie Teofilu, dlaczego dziś Wam to wszystko mówię? dziś, gdy ze specjalnem uczuciem dłoń Waszą ściskam, choć przecie nic się specjalnego, mnie ni Wam nie przydarzyło?...

Romuald Minkiewicz

„Bądź wolny. To jest właśnie człowieczeństwo".

A. France („Tais")

W ojczyźnie inkwizycji płoną tym razem nie stosy, lecz kościoły

W niespełna miesiąc po obaleniu monarchji i dyktatury w Hiszpanji, w tym najbardziej zacofanym, bo najbardziej opanowanym i wyniszczonym przez kler kraju w Europie, zaszły w dniu 11 maja wypadki, które według nieomylnych przewidywań przedstawicieli zaświatowości i obliczeń posiadaczy „absolutnej prawdy", streszczonej w kilkunastu zdaniach nicejskiego Credo, były nie do pomyślenia.

Oto w tym klasycznym kraju „świętej", a nawet „przenajświętszej" papieskiej inkwizycji, niszczonym przez kilka stuleci przez jeden z największych fanatyzmów świata, bo przez fanatyzm w imię krzyża, fanatyzm w imię zbawienia, fanatyzm w imię „głębokiego przekonania" o swej bezwzględnej słuszności; w tym macierzystym kraju czarnej jezuickiej rewerendy i białoczarnych dominikańskich habitów, zbryzganych krwią kroci torturowanych ofiar i cuchnącym dymem 35 tysięcy stosów;—w tym kraju najprawowierniejszej wiary, nędzy, ciemnoty i torreadorów, szlachtujących co roku setki byków na cześć matki boskiej — spalono w ciągu paru dni około osiemdziesięciu kościołów i klasztorów, (ścisłych danych brak) przeważnie jezuickich i zmuszono krocie próżniaczego tałałajstwa zakonnego i niezakonnego do ucieczki z kraju wraz z prymasem kardynałem Segurą na czele, który poprzez Paryż udał się do swego mocodawcy do Watykanu ze skargą na niewdzięcznych katolików hiszpańskich, którzy za tyle miłości i poświęcenia odpłacili swoim duszpasterzom żywiołową nienawiścią i paleniem „domów bożych" wraz z klasztorami, pałacami biskupiemi i redakcjami pism klerykalnych.

W poprzednim numerze W. P. zacytowaliśmy streszczenie artykułu największego katolickiego dziennika w Hiszpanji „El Debate", z którego wynikało, że kler hiszpański mimo tylu zapowiedzi, że jego metody wychowawcze wykluczają zgóry jakiekolwiek możliwości buntu i rewolucyj, jeżeli tylko posiada monopol wychowania publicznego w swoim ręku (jak było w Hiszpanji), sam w te zapewnienia nie wierzył i nie mógł się powstrzymać od daleko idących obaw, co do swej najbliższej przyszłości. Ale od czegóż pewność siebie? i tyle już razy wypróbowany w historji posłuch, „przywiązanego do kościoła ludu", liczącego 21 miljonów zwłaszcza gdy się ma do dyspozycji 8 arcybiskupstw, 54 biskupstwa, setkę zgórą kolegjat, 20.462 parafje i 2.500 klasztorów (600 żeńskich, 1.900 męskich) i prawie 150 tysięczną armję bezżeńców, którzy się wytrzebili dla królestwa niebieskiego, ale nie dla żeńskiego pogłowia Hiszpanji.

Zaczęto więc od „pewności siebie" czyli od wydania w dn. 7 maja listu pasterskiego prymasa Segury, listu peł-

nego pogróżek pod adresem rządu, a w obronie dotychczasowego stanowiska kleru watykańskiego w Hiszpanji, który na „zasadzie praw boskich i ludzkich“ nie może być pozbawiony najmniejszych przywilejów, jakiemi cieszył się dotąd w ojczyźnie Ferdynanda Katolickiego, Torguemady, Ignacego Loyoli i św. inkwizycji.

List wzywał następnie katolików, aby do kortezów głosowali tylko na listy wskazane przez biskupów. Ten „braterski“ list wyszedł w czwartek 7.V. a w niedzielę 10.V. już zaczęły się odbywać na ulicach Madrytu burzliwe zebrania i wiece o wyraźnych antyklerykalnych tendencjach. Wiece te dnia następnego (11 maja) zamieniły się w masowe, żywiołowe wystąpienia, przyczem tłum oburzony na warchoła prymasa i na tylowiekowy ucisk i wyzysk kleru, niechcącego utracić nic ze swoich dotychczasowych prerogatyw, podpalił kościół, klasztor i kolegjum jezuitów, klasztor św. Teresy, klasztor Marji panny i klasztor karmelitów, które spłonęły doszczętnie. Tegoż dnia spalono klasztory i szkoły jezuickie w Cuerto Caminas i w Schamertin Rosa. W Kordobie zdemolowano redakcję pisma jezuickiego i obrzucono kamieniami klasztor jezuicki, zabiwszy bądź poraniwszy wielu znajdujących się wewnątrz przewrotnych synów Loyoli.

Następnego dnia (12 maja) burzenie i palenie kościołów i klasztorów nie ustało. Objęło ono natomiast wszystkie większe miasta prowincjonalne. Długo tajona nienawiść tłumów do zaświatowców o pojemnych i sprawnych żołądkach, objadających biedną ludność od stuleci i popierających monarchję i kilka kolejnych, mocno znienawidzonych dyktatur, niszczyła po drodze wszystko, co tylko miało związek z klerem. Zdemolowano więc nietylko szereg dalszych kościołów, klasztorów i szkół, ale i szereg pałaców biskupich.

A oto kilka historycznych telegramów o przebiegu tych zajść, podanych przez „Kurjer Poranny“, za co p Neuwert-Nowaczyński strasznie się oburzał w „Gaz. Warsz.“ z dn. 22 maja na organ p. Fryzego. Bo jakżeż to można pisać w Polsce katolickiej, że nawet Hiszpanja pali kościoły i nie chce kleru? A nuż cierpliwy, „zawsze wierny“, ludek polski zechce przy jakimś pierwszym zatargu kleru z państwem pójść w ślady Hiszpanji?

MADRYT, 12.5 — PAT. — W Alicante teroryści ograbili, a następnie podpalili siedzibę jezuitów, 7 klasztorów, dwie drukarnie dzienników, pałac arcybiskupi oraz szkołę pod wezwaniem Ave Maria.

W Kadyksie ekstermiści (burzyciele) podpalili cztery klasztory. Wojsko, które interwenjowało, zmuszone było do użycia broni. W mieście panuje wielka panika.

W Maladze ubiegłej nocy manifestanci podpalili dwa klasztory i pałac biskupi.

W Sewilli po ostatnich aktach podpalania klasztorów zapanowała panika. Duchowni szukają schronienia u osób prywatnych.

LONDYN, 12.5 — A. T. E. — Do Gibraltaru przybywają masami uchodźcy z Kadyksu, Sevilli i Malagi. Opowiadają oni wstrząsające szcze-

góły o ruchu antyklerykalnym w Hiszpanji. Według tych opowieści katedra w Sewilli, jedna z najwyższych budowli świata, została podpalona. Również w płomieniach stoi starożytny kościół Alameda de Hercules. Kaplica św. Józefa w Sevilli, arcydzieło architektury została zburzona przez tłum. Słynna statua Matki Boskiej z Carmelu została zniszczona przez motłoch wraz z wieloma świętemi obrazami. Kościół św. Dominika w Maladze został zniszczony aż do fundamentów. Tłum podpalił klasztor Jezuitów, pałac biskupa i gmach dziennika klerykalnego w Maladze. W Alicante zniszczona została redakcja dziennika katolickiego i klasztor Kapucynów.

Lista spalonych objektów kościelnych

MADRYT, 12.5. — Z licznych miejscowości na terenie całej Hiszpanji donoszą o spalonych już lub płonących klasztorach i kościołach. W przeważnej ilości są to kościoły należące do jezuitów, coraz częściej jednak bandy podpalaczy, zniszczywszy wszystkie objekty należące do jezuitów, podkładają ogień pod klasztory innych zakonów.

Grozę sytuacji i rozmiary zniszczenia najlepiej ilustruje wykaz dotychczas spalonych kościołów i pałaców biskupich:

W Madrycie spłonęło 7 kościołów, wartości około 15 miljonów marek.

W Maladze zrównano z ziemią 5 kościołów, 4 klasztory, 1 pałac biskupi i 1 gmach dziennika klerykalnego.

W Muncji 2 klasztory,

w Sewilli — 2 kościoły i 1 klasztor,

w Granadzie —1 klasztor został zniszczony przy pomocy bomb. Atak bombowy na drugi klasztor został odparty. Spalono 4 kościoły i 2 redakcje klerykalne pism,

w Kadyksie — 1 klasztor i 1 kościół,

w Alicante 7 kościołów i klasztorów,

w Saragossie — pałac biskupi, będący istną skarbnicą bezcennych zabytków muzealnych.

Wykaz ten nie jest zupełny, gdyż z wielu prowincjonalnych miast przychodzą wiadomości o dalszych podpalaniach masowych, dokonywanych przez wielkie bandy podpalaczy, włóczących się od jednego kościoła czy klasztoru do drugiego. To też należy się liczyć, że jeszcze kilkadziesiąt objektów kościelnych i klasztornych, które już obecnie płoną, zostanie doszczętnie zniszczonych wobec zbrojnego bronienia przez bandy dostępu strażom ogniowym.

MADRYT, 12.5.— Niezwykle groźnie przedstawia się położenie w Maladze, gdzie zapanowała zupełna anarchja. Cała okolica objęta jest licznemi pożarami klasztorów i kościołów. W wielu miejscach pożary rozszerzyły się na domy mieszkalne.

Komendant tamt. garnizonu nagwałt wzywa pomocy, gdyż nie jest w stanie opanować sytuacji. Zarządzono natychmiastowe wysłanie do Malagi znaczniejszych posiłków wojskowych, przy pomocy których rząd pragnie stłumić rozruchy.

Ucieczka mnichów

SAN SEBASTIAN, 13.5. — Kardynał prymas Segura uciekł z Hiszpanji początkowo jednak nie wiedziano dokąd się udał; przypuszczano, że skierował swe kroki ku granicy portugalskiej. Obecnie okazuje się, że kardynał wraz ze swym bratem przekroczył granicę francuską i dalej ma zamiar jechać do Paryża.

Mnisi z wszystkich okolic Hiszpanji masowo uciekają w najrozmaitszych przebraniach. Częstokroć przebierają się oni w łachmany żebracze, w ubrania robotnicze, a nawet w stroje kobiece. Większość przekracza granice Francji.

Francuska straż graniczna ma wiele kłopotu, uciekający mnisi bowiem nie posiadają paszportów ani przepustek, a zawracać ich zpowrotem do Hiszpanji trudno wobec nienawiści jaka panuje w stosunku do kleru. Ostatnio francuskie władze graniczne zatrzymały 30 augustjanów i internowały ich aż do czasu nadejścia rozkazów z Paryża.

MALAGA, 15.5 (Tel. wł.). Oficjalny raport gubernatora Malagi stwierdza, iż w ciągu dwóch dni, 12 i 13 maja, spalonych i rozgromionych zostało w Maladze i jej okolicach 27 klasztorów i kościołów.

Oświadczenie Zamory

MADRYT, 14.5 (PAT.) Zamora oświadczył dziennikarzom, że niema formalnych dowodów porozumienia między monarchistami a komunistami w stosunku do ostatnich wypadków. (Czyli, że były one dziełem samych republikanów. uw. n.) Zamora dodał, że bardzo duża liczba klasztorów w Hiszpanji, których w samym Madrycie jest 200, a w Sevilli 60, utrudnia niezmiernie ochronę ich przed ekscesami.

A więc 200 klasztorów w Madrycie na 780 tys. mieszkańców! a w Sewilli na 200 tysięcy mieszkańców 60, czyli stosunkowo jeszcze więcej!.. Przy każdym klasztorze jak wiemy jest kościół lub kaplica, przy każdym kościele lub kaplicy po paru, kilku lub kilkunastu darmozjadów w sutanach lub habitach, nie licząc odpowiedniej załogi w kościołach parafjalnych i filjalnych... A toż raj! Tylko żyć i nie umierać, dopóki się nie zostanie obrzuconym kamieniami przez doprowadzoną do ostateczności ludność lub nie zostanie się potraktowanym tak, jak arcybiskup Sewilli, o czem w medjolańskiem „Corriera della Sera“ taką wg. „Gaz. Warsz“. (19.V) wydrukowano opowieść:

„Tłum wdarł się do pałacu arcybiskupa, do katedry i do głównych klasztorów; podpalił budynki a wszelki sprzęt kościelny wyrzucał na ulicę. Księży, którzy próbowali bronić kościołów od profanacji, bito i zmuszano do ucieczki. Grupa napastników, niosąc czerwony sztandar, wdarła się do głównej świątyni i rozbiła sławny posąg Najświętszej Marji Panny z Karmelu, który był przedmiotem kultu w całej Hiszpanji. Następnie tłum zgromadził się na placu San Pedro, gdzie niszczono kielichy, monstrancje i inne przedmioty zrabowane z kościołów. Zrobiono z nich stos i podpalono go wśród wrzasków i świętokradczych śpiewów.

Gdy tłum wdarł się do pałacu arcybiskupiego, arcybiskup włożył na siebie szaty pontyfikalne i z krzyżem w ręku wyszedł na spotkanie napastników. Zanim szła cała kapituła i klerycy. Tłum zatrzymał się na chwilę i zawahał. Lecz wystąpił jakiś młodzieniec, i z przekleństwem na ustach rzucił się na arcybiskupa, uderzając go w twarz. To ośmieliło innych i wkrótce potem cały gmach stał w płomieniach, a księża musieli szukać schronienia w katedrze, by uniknąć napaści rozszalałego tłumu“.

A teraz otwórzmy podręcznik do „Etyki katolickiej“ ks. Lubelskiego i dla skonfrontowania opisanej powyżej „praktyki“, przypomnijmy sobie, co głosi katolicka „teorja“ podawana jako dogmat polskiej młodzieży szkolnej z polecenia Min.W.R. i O.P., o doniosłości czynnika wiecznego w życiu państwowem (W. P. №3 str. 46 i n.):

„Dla każdego państwa Kościół jest nadzwyczaj ważnym sprzymierzeńcem. Dobrze urządzić i zorganizować życie państwowe i społeczne i utrzymać je na wyżynie etycznej nie podobna jedynie środkami przyrodzonemi. Musi tu być wprowadzony czynnik wieczny, czynnik Boży“.

Rosja sowiecka zorganizowała jednak u siebie życie państwowe i społeczne całkiem niegorzej od innych państw Zachodu i o, dziwo! bez czynnika wiecznego, a raczej wbrew

niemu. I ona—wprawdzie niepierwsza i nie ostatnia—pokazała światu, że środki nadprzyrodzone w tworzeniu państwa i organizowaniu życia społecznego są takiem samem oszustwem, jak i sama nadprzyrodzoność.

Zarówno człowiek, jak i społeczeństwo są tworem przyrodzonym i wzajemne stosunki człowieka do człowieka, jak i wzajemny stosunek jednej grupy społecznej do innej grupy społecznej mogą być unormowane jedynie środkami „przyrodzonemi". Wszystko inne jest pustą, demagogiczną gadaniną i mydleniem oczu bardzo naiwnym, czyli wierzącym. „Pustą", lecz nie czczą: bo gdy taką pustą gadaniną zamydli się naiwnym oczy, kler ma z niej potem nielada profit nieraz na bardzo długie lata. Dlatego gada mydli i mydłkuje.

A teraz parę słów o przyczynie tej żywiołowej antykościelnej i antyklerykalnej nienawiści tłumów hiszpańskich. Czy nią była szkoła świecka? czy odwet licznych potomków nawróconych gwałtem na katolicyzm... żydów? czy tych kilku masonów w rządzie tymczasowym? Bynajmniej.

Była nią nędza doprowadzonych do rozpaczy chłopów, robotników i rzemieślników. Jak nas informuje przybyły w tych dniach do Polski jeden z naocznych świadków tych zajść prawie połowa terytorjum Hiszpanji należy do kościoła i różnych kongregacyj zakonnych, reszta należała do króla (który po 30 letnim panowaniu dorobił się 87 miljonów złotych majątku z czego wywiózł około 30 miljonów zagranicę) i do różnych grandów. Znikoma tylko cząstka ziemi należy do ludności wiejskiej. Dopiero nowa republika ma się wziąć do sprawy agrarnej. Następnie liczne klasztory męskie i żeńskie, które przyjmowały „nadprodukcję" ludnościową do swych zakładów wychowawczych, nie czyniły tego bezinteresownie, lecz z pracy tych dzieci korzystały darmo (tylko za jedzenie i mieszkanie), do 25 i 30 roku życia, wytwarzając najróżnorodniejsze towary, któremi zalewały rynek wewnętrzny i zewnętrzny po cenach bezkonkurencyjnych dzięki taniości produkcji, (lokal darmo, praca darmo, podatków żadnych...) i doprowadzając przez to do jeszcze większej nędzy drobnego kupca, rzemieślnika i przemysłowca. Do tego doszła wielka liczba szafarzy łask niebieskich, (jeden „szafarz" na każde 140 mieszkańców), którzy niczego osobiście nie wytwarzając, rujnowali kraj swojem próżniactwem i demoralizowali ludność.

List pasterski kardynała Segury stał się tą kroplą w pełnym dzbanie, która przebrała miarkę i doprowadziła do zburzenia kilkudziesięciu objektów kościelnych i przepędzenia w ciągu kilku dni kilkudziesięciu tysięcy próżniaczych specjalistów od zbawienia. Głównym przedmiotem nienawiści stali się przedewszystkiem jezuici, już nieraz wypędzani z Hiszpanji. Ci najcyniczniejsi i najbardziej bezwzględ-

ni żandarmi papiestwa przytem najlepiej „pomasońsku“ zorganizowani heroldzi zaświatowości dali się ludności hiszpańskiej specjalnie we znaki. Ludność nie mogła im zwłaszcza zapomnieć popierania monarchji i dwóch kolejnych dyktatur wojskowych, pod któremi ucisk polityczny doszedł do ostatecznych granic.

To wszystko razem złożyło się na ten naturalny i zrozumiały odruch społeczeństwa hiszpańskiego jaki miał miejsce w dniach 11, 12, 13 i 14 maja r. b. i na puszczenie z dymem pięćdziesięciu prawie samych kościołów i położyło kres raz na zawsze panowaniu kleru watykańskiego na półwyspie Pirenejskim. Bo to, co było już nie wróci, jak od r. 1836 r. nie wróciły już stosy, „przenajświętszej“ papieskiej inkwizycji“.

Na wszystko bowiem przychodzi czas.

A palili kościoły i rozbijali cudowne posągi w Hiszpanji nie komuniści — jak podawała uporczywie nasza prasa — lecz najprawowierniejsi, głównie wychowankowie klasztorów, wyzyskiwani latami przez pobożnych ojców zakonników i dostatecznie zżyci z kultem kapłana i przepływającej przez tonsurowców strumieniami łask nadprzyrodzonych.

Takiego odwetu za przeszłość nie wzięła na prawosławnym klerze nawet rewolucja bolszewicka. Oddzieliła ona w sposób kulturalny kościół od państwa (18. I. 1918 r.) i chciała niewątpliwie na tem poprzestać. Tak zwane zaś systematyczne prześladowanie kościoła w Rosji nastąpiło później, gdy kler prawosławny zaczął wrogo występować przeciwko rządowi rewolucyjnemu i nowemu ustrojowi, który całkowicie pominął „czynnik wieczny“, czyli popów, przy organizowaniu życia społecznego na nowych zasadach.

W Hiszpanji było inaczej — bo rozpacz nie rozumuje.

W każdym razie łuny nad Hiszpanją, bijące z płonących kościołów watykańskiego kultu, niech sobie dobrze zapamiętają ci, którzy wznosili je przy łunach gorejących stosów, na których składali przez długie wieki krociowe hekatomby swemu fanatyzmowi i swojej nieżyciowej zasadzie zbawiania ludzi wbrew ich woli.

Łuny te powinny być zwłaszcza dobrze zapamiętane przez pewnych panów noszących się zbabska, a stosujących w Polsce podobne metody postępowania, co ich komilitoni w Hiszpanji.

Na wszystko bowiem przychodzi czas — a prócz materji gwiezdnej i rządzących nią praw — nic niema wiecznego. Nie jest wiecznym nawet konkordat, zawarty z papieżem.

W. Rulikowski

„Dzisiejsze bluźnierstwa będą jutro komunałami“.

A. Niemojewski

Chrześcijaństwo a nauka

(d. c.)

Pojęcie odkupienia

Skutkiem grzechu pierworodnego rodzaj ludzki we wszystkich swych przedstawicielach, dzieciach przychodzących na świat, od chwili połączenia ducha z ciałem, t. j. od chwili poczęcia swego życia jest grzesznikiem i jako taki jest już splamiony i karygodny. Grzech Adama przeszedł na wszystkich jego potomków, a sobór trydencki uczy, że „jeśli kto utrzymuje, że Adam tylko śmierć i kary cielesne przelał na cały ród ludzki, nie zaś i grzech, który jest śmiercią duszy, niech będzie wyklęty“ (ses. 5, can. 2). Dzieci rodzą się więc pod panowaniem szatana, czyli są obciążone grzechem pierworodnym, są grzesznikami. Wszyscy, co od Adama biorą naturę ludzką, biorą ją w stanie ogołocenia, grzech ten pociąga za sobą karę potępienia. Istotą grzechu pierworodnego jest brak łaski poświęcającej, czego skutkiem jest panowanie pożądliwości.

Przeciwko nauce o grzechu pierworodnym występowali już w V wieku Pelagjanie, a przed nimi Teodor z Mopsuety; nadto Rufinus, Abelard, Albigensowie, Anabaptyści, Socjanie, wielu protestantów, którzy mówili, że Adam dał tylko zły przykład swemu potomstwu i tak je do grzechu pociągnął, ale w rzeczywistości grzech jego nie przechodzi na rodzaj ludzki. Augustyn (De ver. relig., c. 14) mówi, że „grzech jest tak dobrowolnym, iż w żaden sposób nie jest grzechem, jeśli nie jest dobrowolnym“, a więc grzech Adama nie mógłby być poczytany potomstwu, które go nie popełniło. Pytanie to wprawiało teologów w wielki kłopot. Odpowiedzi były różne. Przeważa jednak zdanie, że ród ludzki uważać należy, jakoby jednego człowieka. Ale i przy takiem ujęciu wina nie staje się jasną według naszych pojęć o sprawiedliwości, gdyż syn nie może odpowiadać za przewinienia rodziców. To też Encyklopedja kościelna (tom XIII, str. 372) nie mogąc wybrnąć z trudności powiada, że „przyznać należy, że kwestja grzechu pierworodnego ma niezgłębione tajniki dla umysłu ludzkiego:, jest ona kamieniem obrazy dla wielu, dla umysłów pysznych, usiłujących przedrzeć tajemnice boże...“.

Naszem zdaniem całe to zagadnienie z chwilą wystąpienia Karola Darwina schodzi z porządku dziennego. Rodzaj ludzki pochodzi od zwierząt, zatem nie może być mowy o „pierwszych rodzicach“, Adamie i Ewie, a zatem także i o tem, co oni mieli rzekomo popełnić. Skoro ich nie było, to zatem nie było także grzechu pierworodnego; nie potrzebny jest zatem chrzest, który miał mazać jego skutki, nie potrzebne jest odkupienie. Rodzaj ludzki nie zaczął od moralnego bankructwa, ale w pocie czoła, własnym wysiłkiem

twórczym szedł na wyżyny dzisiejszej kultury. Stan obecny nie jest upośledzeniem pierwotnego, rzekomo wysokiego stanu, nie jest żadną degradacją, ale na odwrót podniesieniem się ze stanu pierwotnej dzikości. Nie jest dalej do niniczego potrzebne jakieś odkupienie rodzaju ludzkiego przez Jezusa, gdyż nie było grzechu pierworodnego, za któryby rodzaj ten miał być odkupywany. Tak więc, ani się nie spostrzeżono, że rok wystąpienia K. Darwina stał się rokiem, w którym ostatecznie skończyła się ideologja chrześcijaństwa, wsparta na fundamencie grzechu pierworodnego. Od tej chwili została tylko organizacja kościołów chrześcijańskich, ale ideologja, oczywiście dla tych, którzy umieją wyprowadzać konsekwencje z nowych zdobyczy naukowych skończyła się ostatecznie, choć jeszcze wielu tego nie widzi.

Byli tacy, którzy chcąc ratować ideę grzechu pierworodnego starali się za wszelką cenę utrącać nową naukę o ewolucyjnem pochodzeniu ludzkości od zwierząt. A więc gromadzono rzekomo naukowe dowody przeciw ewolucjonizmowi biologicznemu. Prostaczkom tłumaczono i tłumaczy się jeszcze do dziś dnia, że nowa ta nauka została „już dawno obalona“. Ale nie umią niestety podać nazwisk tych, którzy ją obalili. Gdy ta taktyka zawiodła, gdy pochodzenie ludzkości od zwierząt zostało powszechnie uznane w świecie przyrodników, wtedy dla ratowania dawnej tezy, grożącej zawaleniem całemu chrześcijaństwu starano się wykazywać różnice między dzisiejszemi małpami, a rodzajem ludzkim, czego ostatecznym wynikiem miał być wniosek, że człowiek nie może pochodzić „od małpy“. Inni przystępowali do zagadnienia humorystycznie, zwracając się do zwolenników ewolucjonizmu z zapytaniem imiennem „więc to pan pochodzi od małpy? A gdzie pan ogon zapomniał“? Ale taktyka ta, mająca nieraz do dziś dnia kurs w śród nieuków w biologji, nie była obliczona na długie trwanie, gdyż przyrodnicy nie utrzymywali, że dzisiejsze małpy są rodzicami rodzaju ludzkiego. Był to taki sam błąd, jak wyprowadzanie kogoś nie od jego rodziców ale od jego brata, albo wyprowadzanie Czechów od Polaków, lub odwrotnie, podczas, gdy Czechów i Polaków razem należy wyprowadzać od wspólnej słowiańskiej gałęzi genealogicznej. W tym sensie prowadzi walkę z ewolucjonizmem Encyklopedja Kościelna gromadząc dane na różnice między ludzkością i małpami dla obalenia tezy, że ludzkość nie może od małp pochodzić. Taka teza da się przeprowadzić, ale jej obalanie jest obalaniem tego, co nie było stawiane przez naukę, chyba tylko przez teologów celem wyśmiania i zohydzenia jej. Dlatego na wszystkie zapytania tyczące pochodzenia ludzkości „od małpy“ należy z godnością odpowiedzieć, że przedewszystkiem nie „od małpy“ i że osoba stawiająca takie pytanie zupełnie się w zagadnieniu nie orjentuje i że jest ofiarą wprowadzenia w błąd przez teologów, a co się tyczy pochodzenia ludzkości „od

zwierząt", to można sobie tylko za zaszczyt poczytać przynależność do tej ludzkości, która własnym wysiłkiem doszła do szczytów takiej kultury, w przeciwieństwie do dawnej ludzkości, która już w samem zaraniu swego istnienia, według wyobrażeń teologów, moralnie zbankrutowała.

Inni prowadząc beznadziejną walkę z ewolucjonizmem wyzyskiwali spory między samymi przyrodnikami, tyczącemi czynników uczłowieczenia, i gałęzi genealogicznej rodzaju ludzkiego, epoki uczłowieczenia (trzeciorzęd, czy czwartorzęd geologiczny), twierdząc, że sami przyrodnicy zwalczają się, i że nic nie jest pewne, wobec czego trzeba wierzyć. Spory między przyrodnikami, tyczące szczegółów pochodzedzenia mogą trwać jeszcze długo, a nawet zostać w braku materjału na zawsze nierozstrzygnięte, ale z tego nie racja jeszcze, żeby odrzucano tezę podstawową nowej nauki, że: rodzaj ludzki od zwierząt pochodzi. Co do tego sporu nie było i niema.

Inni wreszcie chcąc pojednać kompromisowo biblję z nauką godzą się już na ewolucjonizm, ale twierzą, że jeśli rodzaj ludzki pochodzi od zwierząt, to musiała być „pierwsza para ludzi", od której rodzaj ten się zaczął. Ale takiemu pojmowaniu stoją na przeszkodzie poważne trudności. Przedewszystkiem, rodzaj ludzki nie może pochodzić od jednej pary, bo w takim razie musieliby się żenić siostry rodzone z braćmi rodzonymi, co jest sprzeczne z instynktami ludzi normalnych. Gdyby nawet bracia i siostry zdołali przełamać ten wstręt do związków małżeńskich między sobą, to ród któryby wyszedł z takiego związku skończyłby się jeśli nie w pierwszem, to w każdym razie w następnych pokoleniach bezpłodnością i degeneracją. Nadto jest nie do przyjęcia taka jedna para, gdyż ludzkość masowo wyłaniać się zaczęła ze świata zwierzęcego, podobnie jak Polacy nie pochodzą od jakiejś jednej pary Pra-polaka i Pra-polki, tylko masowo wyłonili się ze Słowiańszczyzny, a ta także nie pochodzi od Pra-słowianina i Pra-słowianki, lecz masowo wyłoniła się z żywiołu erańskiego, a ten z innego. Dlatego także niepodobieństwem jest wyprowadzenie rodzaju zwierzęcego od tych par, które Noe miał rzekomo wziąć do swej arki, której rozmiary wynosiły według Genesis VI 15:300 łokci długości, 50 szerokości, 30 wysokości, a zatem 450,000 łokci sześciennych. Ponieważ łokieć odpowiadał 0,525 metra (Encyklopedja Kościelna XXVII 36) zatem długość wynosiła 157 metrów i 5 decymetrów, szerokość 26 metrów i 25 setnych, wysokość 15 metrów i 75 setnych. Pojemność zatem 65.116'40625 metrów sześciennych. W tych 65.116 metrach sześciennych, został zamknięty cały dwupłciowy rodzaj zwierzęcy wraz z żywnością na okres niemal roku, oraz rodzina Noego.

Adam i Ewa mieli samych synów (Qaina, Abla, Seta). Jakże ci mężczyźni się rozmnażali bez kobiety?

Inni ratują sytuację nadawaniem mitowi o Adamie i Ewie charakteru alegoryczno-symbolicznego, ale to zostaje w sprzeczności z danemi mitologicznemi.

Nie chodzi tu więc, o żadne „niezgłębione tajniki dla umysłu ludzkiego", jak się wyraża Encyklopedja kościelna, ani o „pychę umysłu ludzkiego", tylko o konfrontację z naukami przyrodniczemi i mitologicznemi, które całkiem co innego mówią. Idea grzechu pierworodnego ma w sobie coś potwornego, skoro niewinne dzieci zostają grzechem obciążone, choć jeszcze nic o świecie nie wiedzą. Trudność z której nie mogli teologowie wybrnąć, prosto tłumaczy się pojęciami dawnej rodziny. Rozumiano pod nią nie męża i żonę, ale męża i jego mienie, do którego zaliczano także kobiety (np. Ex XX 17 „nie pożądaj domu bliźniego twego, ani żony, ani służebnicy, ani wołu, ani osła jego, ani żadnej rzeczy, która jego jest"). U Celtów Orgetoryks gromadzi „całą swoją rodzinę, do 10.000 ludzi" (omnem suam familiam, ad hominum milia decem"). Jeśli zabijano kogoś, to także jego rodzinę gładzono. Są to pojęcia zbyt pierwotne, a choć się etnologicznie tłumaczą, o czem teolodzy jakby nie chcą wiedzieć, to jednak żadną miarą nie mogą wchodzić w nasze pojęcia o przestępstwie, a zatem także w pojęcia boga, którego przecież chrześcijanie uważają za istotę doskonałą. Tak więc dzięki Darwinowi ludzkość zwolnioną została i rozgrzeszoną od grzechu pierworodnego, którego nigdy nie popełniła, jak to jej insynuowano, stała się niepokalanie poczętą, co dotychczas było przywilejem tylko matki Jezusa „bez zmazy poczętej", a od tej chwili stało się przywilejem wszystkich ludzi i zwierząt, między którymi różnica się zatarła, a pozostała tylko różnica stopnia inteligencji i uzdolnień. Ewolucjonizm podniósł godność rodzaju ludzkiego!

Aniołowie

Szczególnie szczęśliwe położenie mają aniołowie. Podczas, gdy ludzie z powodu obarczenia przez skutki grzechu pierworodnego narażeni są na mnóstwo cierpień, na wolę niedoskonałą, na możliwość utraty wiecznego zbawienia i na potępienie wieczne, aniołowie są to istoty rozumne od samego momentu ich stworzenia. Ludzie z trudem zdobywają rozum, wielu z nich pomimo pracy nie może go zdobyć, bo przychodząc na świat nie przynieśli z sobą uzdolnień. Anieli mają go od samego zarania istnienia. Ludzie są narażeni z powodu właściwości ciała na cierpienia, choroby, niekiedy bardzo przewlekłe, a jednak nie zasłużone, wreszcie na śmierć. Anieli są niematerjalni, bezcieleśni i bardziej od ludzi zbliżeni do boga, obdarzeni rączością, rozumem i siłą.

Nawet liczebnie jest ich więcej od ludzi. Św. Hieronim (In Isai, c. 11) powiada, że liczba ludzi żyjących po wszystkie czasy niczem jest w porównaniu z liczbą aniołów. I to wszystko mają anieli właściwie bez żadnych zasług ze swej strony. Do wszystkich tych cennych zalet doszli poprostu drogą woli boga, który ich takimi mieć chciał i takimi ich stworzył. Szkoda tylko, że nie stworzył ludzi takimi! Aniołowie podzieleni są na hierarchie: Serafini, Cherubini i Trony. Dziwnemi są te końcówki hebrajskie — *im*, które w języku hebrajskim są zakończeniem liczby mnogiej rzeczowników męskich. Powinno się więc mówić — Serafowie, Cherubowie.

Co do Cherubów, to znali już ich babilończycy. Wizerunki ich stoją w sali rzeźb asyryjskich brytyjskiego muzeum w Londynie. Głowę mają ludzką, korpus lwa, racice cielca, skrzydła orła. Poznajemy w tem złączenie czterech gwiazdozbiorów. Nadto Apokalipsa wspomina jeszcze (I 4) o siedmiu aniołach asystujących u tronu bożego. Odpowiadają one 7 planetom, które według Jana z Gazy reprezentowało 7 gwiazd Niedźwiedzicy Większej na niebie. Trony stoją przy samym tronie bożym. Drugą hierarchję stanowią Chóry, Panowania, Księstwa i Moce. Trzecią hierarchję stanowią Zastępy, Archaniołowie, Aniołowie. Zastępy—Zwaóth, albo Sabaóth, pierwotnie gwiazdory, mają według teologji opiekę nad materjalnem stworzeniem, archaniołowie (Gabriel, Rafael, Michael, Urjel) są to wyżsi książęta anielscy, szczególniej używani w uroczystych okazjach, spełniają poselstwa względem człowieka. Aniołowie wreszcie, to bezpośredni zwiastunowie myśli i woli bożej ludziom, najniższa hierarchja, lub mówiac po wojskowemu, szarża. Nadto każdy człowiek ma swego anioła stróża.

Jak z tego widzimy dwór niebieski jest urządzony według trzech hierarchij otaczających tron boży. Wszystko to jest odbiciem hierarchji władców ziemskich siedzących na tronie i mających do spełniania swych zleceń książąt, arcyksiążąt i dostojników niższego rzędu. Jak taką osobą z dworu przeważnie stawało się z urodzenia „szlachetnego“, albo w każdym razie na zasadzie woli władcy, tak też było i z aniołami. Bóg tak chciał; więc stworzył ich. Dlaczego i poco: nie wiadomo. Jest to zapewne „tajemnica boska“.

St. Asté

(dok. nast.).

„Najlepszy człowiek ma zawsze najlepszą religię“.

A. Jacobi

Przypuszczalne przemówienie jednego z uczestników kongresu wolnej myśli w r. 1931 w Berlinie

W związku z artykułem p. t. „Rozważania przedkongresowe“, zamieszczonym w majowym N-rze „Racjonalisty“, jeden z czytelników nadesłał nam poniższy artykuł wraz z listem,.
I list (wyjątek) i artykuł drukujemy na zasadach Wolnej Trybuny.

Redakcja

Wyjątek z listu

...W swoim czasie umieścił p. Józef Landau w Nr. 28 Myśli Wolnej żartobliwy feljeton p. t. „Niewygłoszona mowa w Sejmie“, w którym w sposób dowcipny wyszydził marszałka i członków sejmu, niepozwalających mu wypowiedzieć rozmaitych „heretyckich“ dla ich uszu zdań — chociaż niedoszły mówca cytował je z... pisma świętego. Tłem „przemówienia“ miała być pozatem chęć przekonania „posłów“, że mimo nieuznawanie przez władze polskie istnienia bezwyznaniowców, ci jednak egzystują, żyją, a nawet nieźle się rozwijają. I oto obecnie zmieniła się rola. To p. L. nie chce uznać istnienia i wspaniałego rozwoju masowego ruchu wolnomyślicielskiego.

W majowym numerze swego „Racjonalisty“ zwraca się p. L. do Kongresu wolnomyślicielskiego, jaki ma się odbyć we wrześniu w Berlinie, z poważnem ostrzeżeniem, aby tam „spokojnie i głęboko“ rozważono niebezpieczeństwo masowego ruchu proletarjacko-antyreligijnego, a to pod grozą „zatonięcia w niem“ bez śladu czystej idei „Myśli Wolnej“.

Artykuł ów jest zapewne pierwszą w tej sprawie jaskółką, nie ulega bowiem wątpliwości, że p. L. przygotowuje jeneralną na samym kongresie rozprawę z socjalistycznym ruchem wolnomyślicielskim wespół z innymi indywidualistami obu półkul. Będzie to tak aktualna i ciekawa debata, że trudno mi wstrzymać się od przedstawienia przebiegu rozprawy kongresowej aż do połowy września, i dlatego pozwalam sobie dziś już zilustrować przypuszczalną dysputę berlińską, jaką niewątpliwie p. L. osobiście wywoła...

Przypuszczalne przemówienie p. L.

...Przewodniczący Kongresu: „Głos ma p. Landau były generalny sekretarz z Warszawy“.

Pan L. (wszedłszy na trybunę):

„Panie i panowie! Nie tytułuję szanownych zgromadzonych zbyt dziś zwietrzałym tytułem „obywatele“, lub niewolnomyślnie trącącą nazwą „towarzysze“, ale naszem dawnem pozdrowieniem w dobrym tonie: „Medames et Messieurs“ (Głos francuski: Sympatycznie zaczyna). Słusznie

stwierdził p. przewodniczący, iż jestem *„byłym“* sekretarzem generalnym, bowiem od chwili, gdy się przekonałem, że w Polsce jest coraz więcej ateuszy (przeprowadziłem za mojej redakcji na ten temat ankietę, która wykazała 98% ateuszy, lecz głosów tej ankiety nie ogłosiłem, bowiem było to pismo wolnomyślne, a nie bezbożnicze), których zapatrywania są antytezą wolnomyślicielstwa (Głos: ejże?!), nie mogłem ponosić dłużej moralnej odpowiedzialności wobec całej ludzkości za ruch wolnomyślicielski w Polsce — i z żalem musiałem wycofać się z sekretarjatu jeneralnego P. Z. M. W. To jednak nie powinno was, panie i panowie, zrażać do naszego kraju, bowiem po powrocie mym do Warszawy uczynię nowy wysiłek, aby czystą myśl wolną odkazić od zarazków ateizmu (Głos niemiecki: Was, was los?). Tak jest panowie! Przyjechałem specjalnie na rachunek własny, aby was przekonać, że łączenie „metody swobodnego myślenia“ z masowym ruchem międzynarodowego socjalizmu jest niesłychaną w dziejach zdradą czystego wolnomyślicielstwa. Wolnomyślicielami mogę nazwać pojedyńcze nieprzeciętne jednostki, jak np. Cezara, Lenina, Napoleona (Głos francuski: Tego największego zbrodniarza europejskiego?), no i ja mam chyba prawo nazwać siebie wolnomyślicielem (Głos angielski: Miałbym dla pana inną nazwę), ale łączyć się pod sztandarem myśli wolnej z ateistyczną masą proletarjacką — toż to woła o pomstę do boga! (Krzyki). Tak jest, właśnie boga, tylko nie boga dogmatycznego, ale mego własnego! Bo musicie zrozumieć, panowie, że wy, najzajadlejsi ateusze, nie mogąc przeniknąć muru jakiejś tajemnicy, cofacie się zazwyczaj do swego punktu wyjścia, a stajecie się czasem nawet przekonanymi i praktykującymi kościelnikami (Głos: Czego on chce od nas?), wtedy gdy ja, intelektualny wolnomyśliciel, powiadam wtedy: za tym murem jest mój Bóg, i nie przestaję w dalszym ciągu szukać, szukać (Głos: Dnia wczorajszego), gdy wy przestajecie! Boli to was zapewne, panowie, że przejrzałem was gruntownie, i że nie pozwolę, abyście pod przykrywką wolnomyślicielstwa, zrywając z dogmatem kościelnym, narzucali masom międzynarodowe dogmaty społeczne, bo to nie jest metodą swobodnego myślenia, a wyraźny dogmat. Jestem zdania, że możnaby nazwać Lenina conajwyżej indywidualnym wolnomyślicielem, bowiem stworzył on nowy sposób ujęcia życia (Głos czeski: Nie zna pan historji rozwoju umysłowości ludzkiej), ale gdy masy zaczynają się poddawać wpływom myśli i woli takich pionierów, jak Lenin, przestają myśleć samodzielnie, stają się niewolnikami, naśladowcami i bezwolnemi narzędziami wolnomyślnego Lenina (Głos: Co to ma jedno do drugiego?). Ja, jako niezakwestjonowany przez nikogo wolnomyśliciel, uznaję tylko metodę swobodnego badania (Głos: A nie wpływania nigdy na umysłowość ludzką?) poszczególnych jednostek, zaprzeczam zaś masom prawa nazywania siebie wolnomyśli-

cielami — bo nie mogą one składać się z jednostek o wybitnej sile umysłu (Głos: Czy zasad nowego pojmowania wszechświata i życia społecznego — Koperników, Darwinów Marxów — nie pojęły masy, coraz się bardziej umysłowo rozwijające?). Ja jestem pod tym względem innego zdania: chociaż oświecone masy proletarjackie pojęły nowe życie wolnego człowieka, poddają się jednak dogmatom socjalistycznym, które, jak każdy dogmat, nie pozwalają indywidualnie myśleć (Głos: Kto to panu powiedział?). Posiadam więcej praktyki życia socjalistycznego, aniżeli niejeden tu obecny. Przewodniczyłem zebraniom studentów-socjalistów jeszcze wtedy, gdy wielu obecnych nie było na świecie (Głos: wielka mi znajomość socjalizmu!), organizowałem jedno koło wolnomyślicieli-socjalistów (Głos polski: ale mi się nie udało koła tego sklecić, bo przekonywałem robotników, że socjalizm to przebrzmiały dzwon), a zresztą — nie mam potrzeby tłomaczenia się, stwierdzam tylko, że przed wojną socjalizm nie rozumiał wogóle myśli wolnej (Głos: Może tacy socjaliści, jak pan), a jeżeli obecnie zaczyna rozumieć, że należy lud oświecać, to nadaje tej oświacie niezbyt szczęśliwie dobraną nazwę wolnomyślicielstwa.

Kończę swe przemówienie (rzęsiste oklaski) wezwaniem, aby: po 1) nie łączyć się w jakikolwiek sposób z jakimś bliżej mi nieznanym związkiem proletarjackich wolnomyślicieli (Głos: Żałujemy, że się pan tak mało orjentuje, co się w świecie dzieje), po 2) zwalczać nietylko dogmaty kościelne, ale i dogmaty społeczne i polityczne (Głos: To się właśnie czyni: obala trony i ustrój kapitalistyczny). Tak, ale mnie się nie podoba teorja socjalizmu i nie mogę się zgodzić z tem, abym był zmuszony myśleć podług przepisów dyktatury proletarjackiej (Głos: Niech się pan nie obawia, nikt pana do tego nie zmusza, bo dyktatura ta nie jest obowiązującem zakończeniem wysiłków na drodze ku wolnemu życiu), po 3) aby zabronić ateuszom nazywania siebie wolnomyślicielami, bo to mnie, intelektualistę, razi (Głos: Jest to pańska osobista rzecz), po 4) aby międzynarodówka brukselska zajmowała się zwalczaniem wszelkich na świecie dogmatów (Głos: Robią to wśród swoich: uczeni — wolnomyśliciele, artyści-wolnomyśliciele, społecznicy-wolnomyśliciele i t. p.)

(Mówca schodzi z trybuny).

Prosi o głos delegat Czech: Sądzę, że Kongres może być tylko wdzięczny szanownemu przedmówcy za to, że przez dobrze obmyśloną i ułożoną mowę ułatwił nam odpowiedź na ewent. napaści, jakie niewątpliwie będą się na nas sypały ze środowisk klerykalnych po obecnym kongresie. Będą się one starały wmawiać w nas, że zamiast dogmatów kościelnych zmuszamy ludzi do wyznawania innych dogmatów. Stawiam wniosek o przegłosowanie najpierw sprawy, która nas tu głównie zgromadziła: połączenia w jedną organizację wszechświatową obu związków międzynarodowych

Wolnej Myśli. Gdy połączenie to Kongres uchwali — wnioski p. Landaua staną się automatycznie bezprzedmiotowemi (oklaski).

Przewodniczący: Według mego zdania, przemówienie jednego z naszych gości z Polski było tylko szczerem wyznaniem wiary człowieka, który tak, a nie inaczej rozumie swoje stanowisko. Podczas przemówienia p. Landaua tolerowałem wyjątkowo t. zw. zwischenrufy, były one bowiem z małemi wyjątkami rzucane bez chęci obrazy mówcy, zawsze jednak rzeczowo i celowo, przyczem wyjaśniały odrazu stanowisko uczestników kongresu. Tu, na kongresie wolnomyślicielskim, wysłuchujemy wszystkich ludzi dobrej woli — pozostawiając sposób ujmowania przez nich zjawisk społecznych ich osobistemu rozumieniu (oklaski). Otrzymałem oto w tej chwili od innych polskich uczestników Kongresu wyjaśnienie, iż referent przemawiał li tylko w imieniu własnem i że w Polsce rozwija się wszechstronnie, zawsze oparta o podłoże społeczne, myśl wolna — a to w tych samych środowiskach, jak to się dzieje we wszystkich krajach. Przystępujemy do głosowania nad złożonym wczoraj wnioskiem połączenia pracy dwóch międzynarodówek: wiedeńskiej i brukselskiej.

— Kto jest przeciwko wnioskowi?

(Jeden głos z Polski)...

— Kto jest za wnioskiem?

Zamiast głosowania — nieustające, entuzjastyczne oklaski, brawa i okrzyki dziesiątków języków narodowych...

J. Wierzyński

Laktancjusz, ojciec kościoła, za reformą kodeksu karnego

„Żarliwość o dom twój zjadła mnie".
Joannes II.1.7.

W związku z artykułem dyskusyjnym, zamieszczonym w № 11 „Wolnomyśliciela Polskiego", p. t. „Zreformować kodeks karny!" — chcę wykazać, na jak słabej podstawie opierają się paragrafy, broniąc... boga; bo wobec krat i kajdan jestem zupełnie bezsilny.

Nie będę jednak mówił własnemi słowami. Rzecz to w danym wypadku nader niebezpieczna, jako, że żyjemy w czasach publicznego kultu różnych bałwanów, które wg. Schopenhauera niekoniecznie muszą być z kamienia lub metalu: mogą być również i z oderwanych pojęć. Usunę się w cień i wezmę sobie mówcę i rzecznika nielada, który lepiej odemnie rozprawi się z całą słabością osłaniających boga paragrafów zarówno w kodeksach zaborczych, jak i w no-

wym kodeksie polskim. Oto zaś, by tego rzecznika miano prześladować policyjnie lub pociągać do sądu za bluźnierstwo, nie obawiam się, bo ów dawno już nie żyje i do oficjalnych heretyków nie należy. Jest nim ni mniej ni więcej, jeno sam „ojciec kościoła" Laktancjusz[1]). Coprawda, to jego „ojcostwo" jest trochę nieoficjalne; cieszy się jednak wielką powagą w kościele i bywa nazywany „Chrześcijańskim Cyceronem", ze względu na poprawną łacinę.

Jest rzeczą niezmiernie ciekawą, jak ów rzecznik rozprawia się z rzymianami, którym chce wykazać, że obrona bogów przez ludzi i prawo państwowe nie ma najmniejszego sensu, bo jeżeli bogowie są, muszą być wszechpotężni, a jako tacy mogą przecież obronić się sami—czyli niemal słowo w słowo jak w punkcie 7 artykułu H. Wrońskiego „Projekt polskiego kodeksu karnego" w № 18 W. P. z r. ub.

Zastosujmy tę argumentację i do boga chrześcijańsko-żydowskiego i powiedzmy: „Niech broni się sam, ilekroć czuje się obrażony", a kodeks karny postawmy na straży li tylko interesów ludzkich, aby nie dopuszczał krzywdy jednych przez drugich i brał w obronę człowieka przed człowiekiem, któremu, jak wiadomo, społeczeństwo dzisiejsze nie pozwala wymierzać sobie satysfakcji na własną rękę, lecz zmusza go do apelowania do tegoż społeczeństwa i zmonopolizowanego w jego ręku wymiaru sprawiedliwości w razie doznanej krzywdy lub obrazy ze strony innego członka tegoż społeczeństwa.

Inna natomiast sprawa jest z bogiem, mającym być przecież „wszechmogącym". Lecz widocznie ten bóg wszechmogący musi być istotą bardzo słabą, nawet słabiutką, skoro potrzebuje aż tak „ludzkiej arcyludzkiej" pomocy, jak policja i prokurator; sąd i więzienie.

Bądźmy jednak objektywni i przystąpmy do rzeczy z całym aparatem naukowym i posłuchajmy samego Laktancjusza (Epit. ad. Pen. cap. 53 wg. wydania Fritzschego, Lipsk 1844). Ze względu na brak miejsca przytaczam odpowiedni ustęp tylko w tłumaczeniu. Kto chce, może zajrzeć do oryginału i porównać.

Laktancjusz pisze: „Lecz mówią (rzymianie), że czynią to (pociągają do odpowiedzialności bluźnierców), by bronić swoich bogów. Przedewszystkiem, jeśli bogowie są i mają choć trochę potęgi i boskości, nie potrzebują obrony ani opieki człowieka, lecz nie-

---

[1]) Laktancjusz żył w IV wieku naszej ery. Był współczesnym Konstantyna W., który mu powierzył wychowanie swego najstarszego syna. Najważniejszem dziełem L. są „Instytucje boskie" (Institutiones divinae). Najlepsze wydanie jego pism dali: Bueneman, Dufresnoy i Fritzsche. Ta ostatnia edycja wyszła u Gesdorfa „Bibliotheca patrum latinorum", Lipsk, 1842-44. Red

wątpliwie obronią się sami. W przeciwnym razie, jakżeż człowiek może się od nich spodziewać pomocy, skoro nawet sami nie mogą pomścić swych krzywd? Głupstwem więc i pustotą jest chcieć być mścicielem bogów, gdyż przez to jeszcze więcej okazuje się im braku zaufania. Kto bowiem podejmuje się obrony boga, którego czci, przyznaje tem samem, że tenże jest nicością. Jeżeli zaś dlatego go czci, ponieważ uważa go za potężnego, nie powinien chcieć bronić tego, od którego sam powinien być broniony".

Oto tak pisali i rozumowali ojcowie chrześcijaństwa w tych czasach, kiedy nie było ono jeszcze „uznane przez państwo" i musiało bronić się przed zarzutami ateizmu i bluźnierstwa w stosunku do „wszechpotężnych i nieśmiertelnych" bogów olimpijskich, pozostających pod opieką ówczesnego prawa państwowego. Stawszy się religją panującą „wół" chrześcijański, a raczej katolicki, zapomniał bardzo szybko o swoich „cielęcych" latach, zapomniał o domaganiu się dla siebie równouprawnienia i tolerancji, i stał się wnet jednym z największych i najkrwawszych nietolerantów, jął prześladować inne religje i wyznania pod osłoną ukutych na swoją modłę kodeksów karnych i prześladuje je dotąd, gdzie może i jak może. Ale przed 313 rokiem domagał się dla siebie reformy rzymskiego kodeksu karnego w sposób, któremu ze stanowiska logiki nic zarzucić nie można.

I doprawdy trudno o bardziej druzgocące argumenty, niż te, które Laktancjusz przytacza w interesującej nas sprawie i o świetniejszą krytykę prawodawczych nonsensów, ośmieszających wszystkie kodeksy, z wyjątkiem kanonicznego, bo ten przecież jest jedną wielką humorystyką przez swój stosunek do współczesności i swoje teokratyczne uroszczenia.

Jeżeli kościół rzeczywiście jest zbudowany na opoce, a bramy piekielne mają go nie zwyciężyć, to pocóż bronić racji istnienia tej niezwyciężonej w samem swojem założeniu instytucji boskiej za pomocą środków tak niegodnych „wszechmocnego", jak więzienie i areszt policyjny — czyli środkami zwykłej brutalnej ludzkiej przemocy?

Kopernik, Kepler, Galileusz, Newton, Lamarck, Lavoissier, Darwin, Lyell i tylu innych, zakładając podwaliny współczesnej nauki, nie apelowali do ramienia świeckiego i kodeksów karnych, aby broniły ich twierdzeń. To też żaden kodeks spółczesny nie broni wiedzy świeckiej przed zdaniami i poglądami jej wrogów. Nikt też nie wpadł dotąd na pomysł brania w obronę któregokolwiek z systemów filozoficznych zapomocą policji, prokuratora, kajdan, tortur i stosów. Jedna tylko teologja chce być pod tym względem

(i pod innemi też) uprzywilejowaną i ona tylko jedna krzyczy od czasu do czasu: „Ratunku! Jestem posiadaczką prawdy absolutnej, a nie słuchają mnie; otrzymałam mandat nadprzyrodzony, a odwracają się do mnie tyłem; obiecuję światu, co mi tylko ślina na język przyniesie, a coraz mniej jest takich, którzy temu wierzą... Mój głos jest pośmiewiskiem myślących, a encykliki moje idą na makulaturę. Materjalizm, ateizm, bezbożność, te „bramy piekielne", zgubią mnie razem z moją „opoką" i mojemi uroszczeniami... Prokuratorze! policjo! ratujcie, bo świat nie chce już być przeze mnie ani oszukiwany, ani zbawiony i twierdzi za żydem Einsteinem i masonem Darwinem, że wszystko jest względne, niema nic stałego, wszystko podlega prawu ewolucji, a ja chcę trwać niewzruszenie na opoce Pięcioksięgu Mojżesza, prorokach, legendzie ewangelicznej i własnej spekulacji tak jak trwałam dotychczas!..."

Nie mogąc obronić swego stanowiska przed atakami wiedzy i zdrowego rozsądku środkami kulturalnemi, to jest: rozmową, a choćby poetycko uczuciową argumentacją — kler ucieka się do środków, których w żadnym razie kulturalnemi nazwać nie można.

Owszem, brońcie się, walczcie, lecz bronią godną cywilizowanych i myślących. Prosimy o wyzwanie! chętnie je przyjmiemy. Toć mistrzowi z Nazaretu nie zbywało pono na obrotności języka. Czyżby uczniowie tak bardzo różnili się od swego nauczyciela, którego zwą „boskim"?

Z tego założenia wychodząc, opowiadam się całkowicie za wykreśleniem teologicznego pojęcia „bóg" z polskiego kodeksu karnego.

Pojęcia i mniemania, nie mogą być wogóle przedmiotem kodeksowych rozważań i nie mogą być ani narzucane ani odrzucane postrachem kar sądowych. Pojęcia i mniemania są wynikiem ludzkiego swobodnego myślenia, stąd prawodawca, któryby w dzisiejszych czasach chciał pokusić się o włożenie w tej czy innej formie kajdan na Wolną Myśl ludzką, ośmieszyłby się nawet w oczach kleru.

Stanisław Adamowicz

(Poznań)

Kronika

Zgon Daniela Zglińskiego

W dniu 19 maja r. b. zmarł w Warszawie nasz współideowiec, utalentowany pisarz i myśliciel, Daniel Zgliński, przeżywszy lat 84 (ur. w 1847). Jego najżywsza działalność literacka i publicystyczna (poezje, dramaty, komedje, artykuły w prasie postępowej) przypadła na lata osiemdziesiąte

i dziewięćdziesiąte ub. stulecia; naukowa zaś (szkice i studja literackie, przyrodnicze, filozoficzne) na czasy ostatnie. Jego „Humor w Panu Tadeuszu", który doczekał się paru wydań, zawsze będzie należeć do najlepszych studjów nad arcydziełem Mickiewicza, a impresje filozoficzne „W labiryntach mądrości ludzkiej" długo będą interesowały swą oryginalnością. W n-rze 12 W. P. przedrukowaliśmy artykuł praskich „Narodnich listów" o tej ostatniej książce Zglińskiego.

Zmarły był nietylko ciekawym umysłem i zdolnym pisarzem, lecz i człowiekiem, pełnym wysokich zalet charakteru. Entuzjazmowały go do ostatka wszelkie dodatnie przejawy naszego życia kulturalnego i pod tym względem należał zawsze do „najmłodszych", pomimo swego podeszłego wieku. Ilekroć pewna grupa ludzi występowała w Polsce z inicjatywą pracy społecznej w duchu postępu wolności i sprawiedliwości, mogła zawsze liczyć na to, że znajdzie w Zglińskim oddanego spółtowarzysza broni. Ten szlachetny człowiek przylgnął całem sercem również i do naszego ruchu wolnomyślicielskiego i cieszył się jego rozwojem. Nie doczekał się jednak ani świeckich akt stanu cywilnego, ani cmentarzy gminnych, ani krematorjów. Ale to nie jego wina.

Należy tu także dodać, że Zgliński należał do najbliższych przyjaciół prof. Baudouin de Courtenaya, z którym łączyła go ideowa, serdeczna zażyłość od wielu lat. Szlachetnemu autorowi „Impertynencyj i paradoksów" Cześć!

H. W.

Litwa zerwała z Watykanem

Stało się wreszcie to, co było dawno do przewidzenia. Rząd litewski — jak donosi Pat pod dniem 8 maja — odwołał swego posła przy Watykanie, dr. Szaulisa i zapowiedział, że stanowiska tego nie obsadzi. Wobec tego monsignor Bartoloni nie będzie już miał więcej pretekstu do powrotu na Litwę i do udzielania episkopatowi litewskiemu podburzających instrukcyj papieskich do walki z rządem prez. Smetony.

Logiczną konsekwencją tego kroku winnno być teraz wypowiedzenie konkordatu ze strony rządu kowieńskiego, co też niewątpliwie nastąpi. Wypadki bowiem zaszły zadaleko, aby można się było cofnąć z połowy drogi.

Jak widzimy, coraz więcej państw nie chce już gadać z papieżem i z jego agentami. Poznano się na nich wszędzie i przekonano, że są oni nietylko nikomu na nic niepotrzebni, ale wręcz szkodliwi i niebezpieczni (o ile da się im w ręce wychowanie młodzieży). W jednej tylko Polsce czują się jeszcze doskonale. Bo nawet Hiszpanja, choć tak solidnie obesłana przez papieża „czynnikiem wiecznym i bożym", wykurzyła ich od siebie w ciągu paru dni w tempie dotychczas niebywałem. Był to prawdziwy pogrom zaświatowości! Naj-

widoczniej młoda republika hiszpańska chce jak najprędzej dopędzić te narody, które ją wyprzedziły na drodze postępu i cywilizacji, na którą nie pozwalali jej wkraczać zawodowi głosiciele ubóstwa ducha i ewangielicznej pokory.

Ile jest krematorjów na świecie?

Według „Historji kremacji" (Die Geschichte der Feuerbestattung) dr. Karola Weigta (Berlin 1931) w roku 1930 było czynnych na całym świecie 326 pieców kremacyjnych, a mianowicie w Niemczech 104, w Austrji 3, w Czechosłowacji 9, w Szwajcarji 20, w Szwecji 7, w Norwegji 5, w Danji 5, w Finlandji 1, w Holandji 1, w Anglji 20, we Francji 6, we Włoszech 27, w Rumunji 1, w Rosji 1, w Afryce 2, w Ameryce Półn. 109, w Ameryce Połudn. 1, w Australji 3, w Nowej Zelandji 1.

Statystyką tą nie są objęte Japonja i Indje. Wg. przypuszczeń autora w Japonji liczba krematorjów powinna wynosić paręset, a w Indjach około 36.000, lecz bardzo jeszcze prymitywnie urządzonych, — to znaczy, że zwłoki spalane są w Indjach w ogniu, a nie w strumieniu gorącego powietrza, jak w krematorjach europejskich i amerykańskich.

Autor stwierdza coraz większy rozwój idei kremacji we wszystkich kulturalnych krajach świata (a Polska)?

Z Koła Warszawskiego P. Zw. M. W.

Na posiedzeniu Zarządu Koła warszawskiego P. Zw. M. W. w dniu 20 maja przyjęto 11 nowych członków, którzy wystąpili z kościoła.

Po załatwieniu szeregu spraw bieżących, Zarząd zastanawiał się między innemi nad planem odczytów na sezon zimowy 1930/31. Przyczem stwierdzono, że liczba uczestników tych odczytów dochodziła średnio do 100 osób, t.j. prawie tyle, ile może pomieścić szczupły lokal Koła; w dyskusjach zabierało głos od 12 do 27 osób. Uczestnicy tych odczytów składali się przeważnie z robotników i młodzieży.

Odczyty w Kole warszawskiem P. Zw. M. W., których było 15-cie, były jedynemi poważnemi odczytami publicznemi w Warszawie w czasie od października do maja.

Odpowiedzi Redakcji

JESZCZE O WOLNOMYŚLICIELSTWIE I JEGO SPOŁECZNEJ ROLI

Nie każdy uczony jest wolnomyślicielem i nie każdy wolnomyśliciel uczonym.

Wolnomyślicielstwo jest nietylko metodą myślenia; jest ono przedewszystkiem metodą postępowania.

Ob. J. S., Janów. Wolnomyślicielstwo, wolnomyślność, Wolna Myśl nie jest „nauką" w tem znaczeniu, jak np. fizyka, chemja, biologja i wogóle nauki t. zw. doświad-

czalne. „Nauka" wolnomyślicielska jest poprostu nauką, (jeżeli mamy mówić o „nauce wolnomyślicielskiej", jak np. mówimy o „nauce katolickiej", t. j. o tem, co kościół katolicki naucza).

Wolnomyślicielstwo, wzgl. wolnomyślność jest — jak sama nazwa wskazuje — wolnem, niezależnem, krytycznem myśleniem, które nie zadowala się cudzemi narzuconemi pojęciami i poglądami, lecz przez samodzielne badanie i poddawanie cudzych poglądów własnej krytycznej ocenie, doprowadza nas do poglądów i prawd własnych.

Tak jest w sferze pojęć, w teorji. W praktyce zaś wolnomyślicielstwo jest filozofją praktyczną osobistego i społecznego życia, względnie filozofją stosowaną, bo wolnomyśliciel nietylko dochodzi do swoich własnych poglądów drogą swobodnego krytycznego (logicznego) myślenia, ale przedewszystkiem według tych poglądów stara się żyć i postępować. Główną tedy istotą wolnomyślicielstwa jest praktyczne zastosowanie do życia nauki i filozofji.

I na tem właśnie polega cała różnica pomiędzy wolnomyślicielami a ludźmi nauki (uczonymi), że uczony niezawsze — jakto często możemy obserwować — umie żyć i postępować według wyników swoich badań. Mamy fizyków, chemików, biologów, geologów, astronomów, historyków i t. d., którzy chodzą do kościoła i udają wierzących w dogmaty i biblijne absurdy[1]). Wolnomyśliciele już tego nie robią. W odróżnieniu od „praktykujących religjantów" należy ich nazwać „praktykującymi naukowcami".

Wolnomyślicielstwo polega więc z jednej strony na rozpowszechnianiu wykształcenia, na propagowaniu nauki, na zwalczaniu wszelkiego dogmatyzmu: religijnego, etycznego, społecznego czy politycznego, a z drugiej na stosowaniu w życiu osobistem i społecznem metod i wyników badań naukowych.

Główną cechą wolnomyślicielstwa jest krytyczne myślenie i branie wszystkiego na rozum, a odrzucanie wszystkiego, co się z rozumem, oświeconym przez wiedzę, nie zgadza.

Z tego względu wolnomyśliciele odrzucają wszelkie religje (nietylko katolicyzm), gdyż religje, będące systemami wierzeń ludów pierwotnych, ciemnych i naiwnych, tłumaczących sobie zjawiska przyrodnicze w sposób dostępny ich niskiemu (a więc nieodpowiadającemu dzisiejszym czasom)

---

[1]) Znamy, jednego z największych historyków współczesnych który wierzy w dnie feralne, choć zapewne nie wierzy w feralne fakty historyczne. Znamy jednego z profesorów fizyki, który odstukuje palcem w nieheblowane drzewo domniemane nieszczęście i mówi: „Tfu! tfu! na psa urok"... To nie są konsekwentni naukowcy — to dzikusy, wierzący w magję, w czarownictwo i inne zabobony i przesądy, nie przynoszące bynajmniej zaszczytu ich inteligencji.

poziomowi umysłowemu, stawiają zamiast faktów zbadanych naukowo — niesprawdzalne i niemożliwe do przyjęcia wymysły i domysły i uprawiają kult świątynny tych domysłów i wymysłów. Najważniejsze z tych „domysłów“ to bóg, jako stwórca świata z niczego, a najważniejsze z tych „wymysłów“, to grzech i rzekoma nieśmiertelność pośmiertna człowieka, z koncepcją raju, czyśćca, piekła, zbawienia i potępienia.

Religje, te systemy filozoficzne ludów pierwotnych, trwają dotąd tylko dlatego, że w ich istnieniu jest zaiteresowana materjalnie i politycznie kasta kapłańska, która staje na głowie, aby tylko mogła mieć wpływ na wychowanie młodych pokoleń, by w ten sposób móc sobie preparować przyszłych klijentów, którzy będą ją utrzymywali, bali się jej i ją popierali. Gdyby nie kler, który te przestarzałe oddawna przesądy galwanizuje i narzuca młodzieży szkolnej za pomocą katechizmu, nauka święciłaby całkowity swój tryumf i oświata publiczna miałaby zupełnie inny charakter. Zagwarantowana przez konkordat obowiązkowa nauka religji w szkole średniej i powszechnej, dzięki czemu mamy na uniwersytetach same bractwa różańcowe, sodalicje i profesorów padających na kolana przed papieżem, niema bynajmniej na celu wychowania moralnego młodych pokoleń polskich, jakto kler stara się wmówić w sposób agitacyjny i w władze i w społeczeństwo polskie, lecz urabianie żądnemi władzy i pieniędzy palcami obskurnych katechetów podatnych mózgów dziecięcych na klesze kościelne kopyto, bo religja niema nic wspólnego z moralnością; przeciwnie jątrzy tylko i waśni wyznawców poszczególnych kościołów. A sam kler, zwłaszcza katolicki, owe żywe (w teorji!) przykłady etyki, najwięcej pozostawia do życzenia.

Nazwaliśmy wiarę w życie pozagrobowe jednym z wymysłów wzgl. domysłów kleru, podawanych za fakty rzeczywiste. Wiara ta jest ze wszystkich nauk kościelnych najbardziej rozpowszechniona. Bardzo wielu półreligjantów nie wierzy już ani w boga, ani w stworzenie z niczego, ani w narodziny z dziewicy, ani w zmartwychwstanie i inne teologiczne nonsensy, ale wierzy w nieśmiertelność duszy. Ponieważ jest to jeden z objawów psychiki ludzkiej, możemy go łatwo wytłumaczyć.

Wiara ta krzewi się na podłożu całożyciowego działania w nas instynktu samozachowawczego, wrodzonego wszystkiemu, co żyje. Instynkt ten stoi na straży życia i sprawia, że wszystko, co żyje (a więc nietylko człowiek) boi się i unika śmierci. Jak młode kobiety (w okresie życia płciowego) boją się instynktownie starości i związanej z nią (choć niezawsze) brzydoty, bo wrodzony im instynkt podobania się, będący jednym z przejawów instynktu płciowego, nie dopuszcza myśli, iż mogłyby się kiedyś nie podo-

bać i przestać istnieć dla gatunku, jako jego rozkrzewicielki. A jednak się starzeją, tak jak wszystko, co żyje, przestaje istnieć biologicznie i świadomie. Z tem każdy zdrowo myślący człowiek musi się pogodzić, jak z biegiem lat godzą się młode ładne dziewczyny ze swoją starością, gdy instynkt podobania się traci stopniowo na swojej sile, czyli w miarę zanikania w kobiecie płciowości, a raczej zdolności do wydawania potomstwa.

Kler doskonale wie o tem psychicznem podłożu wiary ludzkiej w ewentualność wiecznego trwania po śmierci i podbija bębenka łudzącym się całe życie marzeniem o istnieniu pozagrobowego życia. A ponieważ jego zadaniem jest korzystać z każdego ludzkiego nieszczęścia i złudzenia, korzysta chyba najwięcej z naiwnej wiary ludzkiej w nieśmiertelność duszy. Nie od dziś wiadomo jest, że kler działa na wierzących zapomocą strachu. Strach jest tą magiczną pałeczką, którą kler rządzi wierzącymi. Każe on się bać przedewszystkiem boga. Ale bóg w gruncie rzeczy jest pojęciem, a pojęcia nie mają tego bezpośredniego związku z naszem życiem podświadomem, instynktownem. Wiara zaś w nieśmiertelność duszy ma ten związek instynktowny i bezpośredni. To też w tem miejscu kler stara się wierzącego najbardziej przerazić swą straszną doktryną o czyśćcu i piekle i zatruwać ludziom wrażliwym każdą chwilę życia lękiem przed mściwością nieba, z którem teologja związała człowieka wierzącego w sposób fatalistyczny za pomocą doktryny o grzechu, będącym tylko kapłańskim wymysłem.

Pytacie: skoro życie pozagrobowe nie istnieje, to czem my właściwie jesteśmy? Odpowiadamy: czemś więcej niż bylibyśmy, gdyby ono istniało w tem ujęciu, jak je głosi kościół katolicki. Raczej należałoby się zapytać: skoro życie pozagrobowe istnieje w rozumieniu doktryny katolickiej, wg. której tylko nieliczni dostąpią szczęśliwości wiecznej (bo nawet sprawiedliwy może nagrzeszyć kilka razy na dzień), a prawie każdy będzie się smażył w gotującej smole piekielnej (czyściec jest również piekłem, tylko terminowem), to czemżeż właściwie jesteśmy i poco my wogóle żyjemy? czy poto, abyśmy byli igraszką w rękach mściwego biblijnego boga, który nietylko żąda dla swojej przyjemności ofiar z żywych ludzi (nie wyłączając swego domniemanego syna), ale chce napawać swoje rzekomo miłujące i miłościwe serce męczarniami pośmiertnemi, niekończącemi się nigdy, wszystkich ludzi, którzy pomarli od epoki trzeciorzędowei do naszych czasów?... A tak przecież, a nie inaczej, przedstawia boga teologja kościelna.

O tem, czem my jesteśmy lub czem chcemy i mamy być, nie decyduje wcale wiara w taki czy inny wymysł lub domysł, lecz nasza wartość społeczna i nasz stosunek do obowiązku względem siebie, rodziny i społeczeństwa.

Wielki poeta niemiecki, Goethe napisał w pamiętniku wielkiego filozofa niemieckiego Schopenhauera następujące zdanie: „Jeśli chcesz cieszyć się własną wartością, musisz użyczyć jej światu“. To znaczy, że poza funkcjami fizjobiologicznemi, cały głębszy sens naszego życia polega nie na myślowej i etycznej bierności, nie na pokorze, nie na lęku przed nieznanem i fatalizmem przeznaczenia — jak tego chce kościół — lecz przeciwnie, na czynnej postawie wobec życia, wobec t. zw. losu i na stwarzaniu kulturalnych wartości wyższego rzędu.

Tym, którzyby w tem miejscu chcieli nam uczynić zarzut, iż nie każdy przecież może stwarzać te wartości kulturalne wyższego rzędu, odpowiadamy słowami Mickiewicza:

Chciejmy wszyscy dokonać, dokona, kto może.

Już to samo podniesie nas w własnych oczach, jeżeli będziemy chcieli dokonać rzeczy pod względem kulturalnym wartościowych.

Wasze wystąpienie z kościoła katolickiego i przejście na jedno z wyznań protestanckich świadczy o tem, że rozumujecie, że zastanawiacie się, że czynicie wybór, że zachowujecie względem pewnych metafizycznych pojęć postawę krytyczną i że jesteście na drodze do całkowitego wyzwolenia duchowego. Bo wyznania protestanckie, zwłaszcza kalwinizm i metodyzm (wesleyanizm), są w stosunku do katolicyzmu dużym „postępem“. Ale i one opierają się na autorytecie pisma i ewangelji, są więc ze stanowiska wolnej myśli nie do utrzymania.

Dla wolnomyśliciela, któryby stał nawet na stanowisku historyczności Jezusa i wziął z ewangelji rzeczy i zdania najbardziej pod względem etycznym, czyli społecznym, wartościowe, byłoby rzeczą niemożliwą do pogodzenia z rozumem (przynajmniej według naszego zdania) całe ubóstwienie mistrza legendy ewangelicznej, jego wniebowstąpienie i inne cuda, opowiedziane z wielkim sentymentem, ale i z wielką naiwnością. To są rzeczy już nie dla nas. Wyrośliśmy z tego oddawna i dlatego nie mamy już co robić w kościele, gdzie wszystko kłóci się z naszym rozumem i oburza nasze poczucie etyczne, jako świadome uprawianie oszustwa, gwoli wiadomym i niewiadomym zyskom.

Na str. 220 naszego pisma (Nr. 10) powiedzieliśmy, że cała różnica pomiędzy ateizmem a teizmem polega tylko na stopniu rozwoju umysłowego. Kwestja wiary lub niewiary zależy nietyle od tego, *co* się wie i *jak* się wie, lecz przedewszystkiem od konsekwencyj życiowych, jakie wyciągamy ze stopnia przyswojonej wiedzy. Stąd widzimy ludzi nieraz bardzo uczonych, profesorów uniwersytetu i t. p., chodzących do kościoła i zaczynających zjazdy naukowe uroczystemi nabożeństwami w katedrach i ludzi zaledwie średnio wykształconych, lecz umiejących wyniki swej wiedzy praktycznie stosować w życiu za pomocą wolnomyślicielskiej metody

postępowania, którzy nie wierzą i do kościoła nie chodzą. Lecz jako konsekwetni—występują z niego.

Nawracamy tedy do początku i powiadamy: Wolnomyśliciel niezawsze bywa uczonym, a uczony wolnomyślicielem. Wolnomyślicielem jest ten, kto ma odwagę nietylko myśleć swobodnie i posiadać o wszystkiem własne zdanie, ale przedewszystkiem ten, kto ma odwagę wedle wyników swojej wiedzy żyć i postępować. I na tem głównie polega społeczna rola wolnomyślicielstwa.

Uczony, który nie jest wolnomyślicielem w tem zrozumieniu, jak my to pojmujemy, podobny jest do wielotomowej encyklopedji, którą można dowolnie przestawiać z półki na półkę, sprzedać lub wyrzucić z domu. Jest pod względem społecznym czemś martwem i bezwolnem. Ma on wszelkie warunki, aby zostać wolnomyślicielem, ale nie ma odwagi mieć własnego zdania, a zwłaszcza odwagi cywilnej do postępowania według wyników swojej wiedzy. Będzie nam streszczał wyniki poszczególnych nauk, ale nie powie, do czego te wyniki winny myślącego człowieka doprowadzić. Będzie nam mówił o wszystkich systemach filozoficznych, ale nie powie, jaka jest jego filozofja, a jeśli powie, przekonacie się, że to nie jest filozofja, jeno stek pierwotnych przesądów.

Wolnomyśliciel, to nieraz zwykły podręcznik szkolny, który jednak żyje świadomie, myśli i jest panem samego siebie.

W razie dalszych wątpliwości zwróćcie się wprost do naszej redakcji.

Zaopatrzcie się również w szereg naszych wydawnictw. Spis i cennik znajdziecie w N-rze 6 W. P. z r.b.*)

H. W.

---

*) Zob. W. P. z 1929 r. Nr. 12, str. 1n, z r. 1930, Nr. 2, str. 9n.

Treść poprzedniego numeru:

PRENUMERATA WOLNOMYŚLICIELA POLSKIEGO:

rocznie	zł. 14.00	miesięcznie zł. 1.20
półrocznie	„ 7.00	zagranicą 2½ dol. rocznie
kwartalnie	„ 3.50	numer pojedynczy 60 gr.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Królewska 16, telefon 718-14. Konto czek. P. K. O. 14200.

Redaktor: **Marja Jankowska**. — Wydawca: **Spółdzielnia „Bez Dogmatu"**

Zakłady Graficzne B. Pardecki i S-ka z o. o., Warszawa, Żelazna 56.